

NA WARSZTACIE TEATRALNYM

1

ANNA ŚWIRSZCZYŃSKA

NA MARGINESIE „ORFEUSZA”.

W szeregu recenzji i wypowiedzi ustnych wielu osób spotykałam się z rozmaitymi interpretacjami „Orfeusza”. Jedni mówili, że sztuka jest metafizyczna, inni — że jest wręcz przeciwnie. Jedni widzieli w niej wyraźne pierwiastki społeczne, inni słysząc taką opinię uśmiechali się z politowaniem. Były takie interpretacje, które mnie osobiście nigdy przedtem nie przyszły do głowy, mimo to zaskakiwały mnie swą trafnością.

Nie wiem, czy słuszne jest mniemanie autora, że on najlepiej zdaje sobie sprawę z tego, co znaczy jego sztuka, w każdym razie i on ma prawo zabrać w tej sprawie głos, zresztą raczej prywatnie, bo oficjalnie mówi za niego utwór.

Chciałam w „Orfeuszu” przedstawić typ bohatera o cechach prometejskich, buntownika, powstającego przeciw bogom w obronie ludzi. Bogowie są źli i złe są prawa, na których zbudowali świat. Prawa te głoszą, że póki będzie życie, będzie lęk i cierpienie.

Bogowie nie mają litości nad śmiertelnymi. Ma ją tylko Orfeusz. Miłosierdzie jest najgłębszym motorem jego działania. W walce o uleczenie wiecznie grzesznych i wiecznie nieszczęśliwych menad Orfeusz przegrywa, bo miłosierdzie jego nie było doskonałe, nie było tak wielkie, by uchronić go od załamania się pod wpływem osobistego nieszczęścia — śmierci Eurydyki.

Odtąd swej cudotwórczej władzy używa dla osobistej korzyści. Przekracza bramę piekieł nie po to, żeby zburzyć wyrte w kamieniu prawa bogów i na to miejsce postawić nowe, sprawiedliwe — ale tylko po to, żeby przywrócić życie jednej kobiecie. To jest jego

tragiczna wina i za to zostaje ukarany. Prawo śmierci, które chciał przełamać nie dla szczęścia wszystkich, ale dla szczęścia jednostki, okazuje się silniejsze od niego. Bo siła bohatera mierzy się ilością tych, w których obronie on staje i w których imieniu przemawia. A jedyną bronią Orfeusza w obliczu Persefony jest jego miłość do Eurydyki.

Dlatego przegrywa. A gdy przegrał — pozostaje mu tylko śmierć. Nie jest już w stanie podjąć swej dawnej roli uzdrowiciela świata. Idzie do menad jako winowajca, by poddać się ich krwawemu obrzędowi, który ma je uleczyć i dać im moc, a jest przecież tylko zbrodnią. Zbrodnią tragiczną, bo dokonaną z tęsknoty do oczyszczenia i dobra.

Orfeusz nie zdołał ocalić świata od lęku, ale dość mu zostało jeszcze siły, by w godzinie śmierci w samym sobie zwyciężyć lęk. Toteż w scenie końcowej jest on mimo wszystko zwycięzcą menad, a jego moc — noc kapłana boga słońca — góruje nad ich posępną wzniosłością rozpacz. I to moim zdaniem powinno sprawiać, że mimo tragizmu zakończenia widz nie wyniesie z całości przedstawienia wrażenia beznadziejnego pesymizmu. Chociaż Orfeusz umiera. Idea, o którą walczy, pozostaje żywa. Jest ona obecna nawet w sercach menad, które nieuleczone przez Orfeusza czekać będą na nowego wybawiciela.

To według mnie byłoby najważniejszym sensem sztuki. Nie wiem tylko, czy jest on dość widoczny dla teatralnego widza, zwłaszcza że w przedstawieniu krakowskim byłam zmuszona poczynić poważne skróty.